3003 № ....

ТИПОГРАФІЯ

К. Ковалевскаго

Мазовецкая 8.

Имѣетъ честь представить въ *Варшавскій Комитетъ по дѣламъ печати* узаконенное число экземпляровъ книги подъ заглавіемъ Julian Ejsmond. Wiersze

отпечатанной безъ предварительной цензуры въ количествѣ двухсотъ (200) экземпляровъ и заключающей въ себѣ 2¼ печатн. листовъ въ 1/16 долю листа т. е. 36 страницъ.

Содержатель типографіи

Ковалев

WIERSZE.

WARSZAWA

1909.

JULJAN EJSMOND

WIERSZE

WARSZAWA

1909.

Druk. K. Kowalewskiego. Mazowiecka. 8.

O liro moja, graj mi, graj,
bo w tobie duch jest mój.
Do snu upajaj mytów kraj,
o liro moja, graj mi, graj,
legendy senne snuj.

A kiedy już nie będzie nas,
opiewaj inny świat,
opiewaj wiosnę, pełną kras;
a kiedy już nie będzie nas,
opiewaj nowy ład.

1907

BÓG SŁOWA.

A gdy Bóg ziemskie już stworzył potęgi,
chciał, by powstała jedna — piorunowa,
a nieśmiertelna, jak boskie przysięgi.
I stał się wtedy Słowacki — Bóg Słowa.
Żył on przez wieki genjuszem potężny:
w lesie szumiącym jęczał i w strumieniu,
błyskawicami pośród burz — orężny,
na tęczy barwnej marzył w upojeniu.
Aż raz przemówił Bóg do cichej mary:
„Masz w ludzkie ciało wejść, światu się zrodzić,
„jako mój Syn goryczy pić puhary
„a jako zorza promienna... odchodzić...
„Chciałem, byś powstał już w rzymskim narodzie,
„a potem gdzieś wśród pustyń i kurhanów,
„a potem gdzieś na lazurowej wodzie,
„a potem w lasach ponurych Germanów.
„Ale dziś jest kraj jeden .. nieszczęśliwy.
„W nim wstaniesz, gromów oświecony deszczem,
„i będziesz z ducha śpiewał, Duchem żywy,
„a kiedy umrzesz — lud nazwie Cię wieszczem.

7 Grudnia 1909.

Z SZEPTÓW DRZEW.

I. PIEŚŃ.

Za morze czas już ptakom iść,
niebo owite lekką mgłą,
zorze coraz to mętniej skrzą,
coraz to smutniej szumi liść,

coraz boleśniej wiatru wiew
jęczy, podnosząc czarny kurz,
przekwitły wszystkie kwiaty już,
żałosne szepty słychać drzew . . . . .

II PIEŚŃ. OPOWIEŚĆ DĘBU.

„Słuchajcie, drzewa! Mnie nieb błyskawice
nie śmiały dotknąć dłonią purpurową!
gromy, co rwały niebiosa nad głową,
drżały, tak dumne było moje lice;
jam drwił z nich sobie, bo piersią stalową
mógłbym był rozbić choćby wszechświat cały,
korzeniem ziemię rozerwać w kawały!

Ale odeszła mnie moc ze starością.
Widzę, że runę niedługo przed wami,
więc, przydławiony losu okropnością,
rosy porannej zalewam się łzami;
widzę, że uciec nie mogę przed złością
bóstw, co władają niebios piorunami,
dlatego rzecz wam opowiem tajemną,
której nikt jeszcze nie wiedział przedemną.

Mieczysław pierwszy pogańskie bożyszcza
zrzucać rozkazał w szumiące bałwany;
na gontyn świętych popalone zgliszcza
religii nowej sprowadzał kapłany.
Bogi się tutaj zebrały na radę
co mają czynić z podłemi tyrany:
wiły, rusałki, topielice blade,
Marzanna, Poświst ze Świstem, Swaróg, Łada
i bożek leśny, co gąszczami włada.

Pioruny groźne uderzyły z góry,
niebios się jasne stropy zaciemniły;
w odbłyskach krwawych zachodu purpury,
bóstwa się wszystkie w drzewa przemieniły:
ramiona listne podniosły do góry;
płaczące wierzby — upiory i wiły,
sosny — rusałki wiecznie szmaragdowe,
olchy — topielce i topole drżące
leśne boginki. A nad drzew tysiące
wznosił król leśny dąb sędziwą głowę.

— Myśmy nie drzewa! my rój duchów święty,
patrzcie na liści mych zieloną falę!
hymn wam zanucę ostatni, zaklęty,
gdy skończę, ryknie grom i z nóg się zwalę.

PIEŚŃ DĘBU.

Opada liść, opada liść,
wiatr targa me konary

potrząsa mych gałęzi kiść;
nie lękam się! precz musi iść
na chmurne nieb obszary,

Po całym lesie gałęzie roni,
wstrząsa drzewami, porywa w tan,
ha! ja przed wichrem nie zegnę skroni,
bom leśny bożek, bom lasu pan!

Jak rusałki wiecznej wiosny
zielonością lśnicie, sosny;
nigdy was zimny wiatr, ni grad
nie odrze ze świątecznych szat!

Wierzbo płacząca! nie trać sił
wśród łkania co cię dusi,
wszakżeś ty demon bólu — Wił,
co wiecznie płakać musi.
Niobe się obróciła w głaz,
ty, łamiąc rąk konary,
płaczesz, źe już jesienny czas,
że liść na tobie szary,
płaczesz, że wiatr zawodzi śpiew
i piętrzy wodne nurty,
żeś jest najnieszczęśliwsza z drzew,
zwieszona z szarej burty . . . .

Jako szatani, co piekielne modły
szepcą, szyderczo we krwi pojąc wzrok,
tak wy, obsiadłszy wzgórza czarny stok,

w szaty cmentarne przyodziane, jodły.
nie znacie życia. chowacie się w mrok.
Okryte w liści czarne prześcieradła,
konary swoje rozwarłszy na krzyż,
milczycie, jako grobowe widziadła,
i ręce listne podnosicie wzwyż.
Olsze, wikliny — blade topielice!
jaśminy — biesy, wiązy — południce.
boginki władcy nad leśnemi strony,
upiory, zmory, jędze, dziwożony!

III PIEŚN.

Zajęczały czarne jodły
hymn rozpaczy i boleści,
jakieś duchów rzewne modły,
w których tyle łez się mieści
ile serc do krwi ubodły.
Zajęczały czarne jodły
hymn rozpaczy i boleści.

Niebo jasna łuna krwawi,
wiatr szaleje hen w bezmiarze.
a w obłokach klucz żórawi
po lazurnym mknie obszarze.

Zaszumiały dęby stare
jakieś pieśni zapomniane,
pochyliły kształty szare
nad okrytą w mgły polanę;

wiatr z oparów uwił marę
i ozdobił w skry rumiane,
zaszumiały lipy stare
jakieś pieśni zapomniane.

Niebo milczy zasłuchane
i we wspomnień tonie fali,
szumią drzewa rozśpiewane,
gwiazd się miljard w górze pali.

1908. Luty

HYMN NIENAWIŚCI,

Podłe Prusaki! Teutony przeklęte!
serce me ku wam nienawiścią pała.
Wyście nękali ludy Słowian święte;
ha! dosyć, miara już się raz przebrała.
Chciałbym być gromem o tytanów sile,
by zemsty strasznej dotrzymać przysięgi
i gruzem przygnieść was w czarnej mogile,
lub zniszczyć ogniem, jak bezbożne księgi.
Chciałbym być wichrem i podnieść popioły
zmarłych pod jarzmem waszej brutalności
i cisnąć wam w twarz i kopać wądoły,
grzebiąc w nich wasze szkielety i kości.
Chciałbym być wreszcie słońcem, by rozniecić
szlachetną iskrę w waszej podłej duszy,

aby jej cienie ponure oświecić
i rzucić blaski do grobowej głuszy. —
Niestety! nie mam piorunowej siły.
Niestety! brak mi ożywczych promieni.
Nie zdolnym nawet pchnąć was do mogiły,
ani do światła wyprowadzić z cieni.
Nie jestem gromem na niebiosach wolnym,
ni słońcem, które blask płomienny daje,
a więc was tylko nienawidzieć zdolnym
i nienawidzę was co sił mi staje.

STRAŻ NA GOPLE.

Jest w starej wieży Kruszwickiego grodu
gniazdo widziadeł, które przeszłość zlęgła.
Te, nieśmiertelne jako duch narodu,
chociaż się na nie ludzka złość sprzysięgła
nie puszczą wrogów do jeziora brodu,
ani do zamku zmurszałego węgła.
Gdy księżyc blady rzuci promień senny
i Gopła fale śpiewające muśnie,
duchy wychodzą z zamku jak z Gehenny,
milczą, skraj szaty ich w wodzie nie pluśnie,
zda się, że z niebios korowód promienny
aniołów zstąpił. A gdy Gopło uśnie,
zjawia się Witeź świecący od stali,
zasiada cicho na brzeżnym kamieniu

i wodnym wirom z rozpaczą się żali.
Czasem noc całą spędzi w odrętwieniu,
aż się promienna jutrzenka zapali.

Z pruskiej gdy strony odezwie się mowa,
Witeź miecz chwyta, stając do obrony
grodu praojców, i jako Jehowa
z piorunem stoi okrutny u straży.
Stoi tak, czuwa, czatuje i strzeże
wód Gopła, jako bajeczni rycerze;
Biada Niemcowi, który wejść tu waży.

Tam znów wieszcz ślepy błądzi przez szuw ary,
ostatni piewca cudów Światowida.
W ręku ma lirę czarującą mary
Witezi sennych. To harfa Derwida.
Niechaj niemiecki tylko kask zaświeci —
a rozbrzmi wówczas śpiew potężny, święty
śpiew, niesłyszany od tysiącoleci.
a jako Boga w niebie głos zaklęty.

I tak co nocy z prastarej wieżycy
duchy spływają nad wody lazurne,
a w srebrnem Gople ruiny Kruszwicy
widać prastare i niebo pochmurne
Wychodzą z grobu wieszcze-czarownicy,
by z błyskiem zorzy ledz w popiołów urnę.

MATARISWAN.

(Legenda osnuta na podaniu staroindyjskiem o półbogu, który niebom ogień odebrał).

1.

Kiedy Rawana, król nocy, cierpiał pomiędzy ognia-
[mi,
dawnych swych grzechów żałując, srogich przebła-
[gać chciał bogów,
wojska zuchwałych rakszasów, rządzące dżungli
[głębiami,
mściły się nad jej ludami, tępiąc śmiertelnych swych
[wrogów.
Jęczała dżungla gnębiona, ludy jej z lęku konały,
naród rakszasów z wściekłością wszystko zakuwał
[w kajdany
i, chociaż przed nim na czele nie szedł Rawana zu-
[chwały,
wszystko pokotem padało na grunt krwią świeżą
[zalany.
Bogowie bronić nie śmieli swojej dziedziny na
[ziemi,
ylko bóg Wisznu potworne sam chciał poskromić
[demony,
postać przywdziawszy tygrysa, włóczył się ciągle
[za niemi
i słuchał ich tajemnice ukryty za drzew korony.

W cudnej dolinie Gangesu na brzegu, między pal-
[mami,
gdzie się schodziły pić wodę tygrysy, słonie, ba-
[woły,
była jaskinia ogromna, pokryta wkoło głazami.
Matariswana siedzibę tworzyły owe wądoły.
Półbóg, praolbrzym, śmiertelnym wrogiem był
[zawsze Rawany,
często on czoło rakszasom stawia i szyki ich
[gnębi;
rękami niebios dosięga; jako bajeczne tytany,
i wstrząsa Indyi posady i dżungli króluje głębi.
Pewnego razu mrok ciemny, budzący widma sza-
[rawe,
pełznął przez dżungli otchłanie; czarna dymiła ko-
[tlina,
w niej Matariswan potężny, porwany w wielką
[obławę
i zawiedziony do sioła, dostał się jeńcem Brahmi-
[na.
Dawne, zamierzchłe te dzieje, głoszone echem
zdradzieckiem,
tylko w podaniach przetrwały; bór nawet nie szumie
[o tem,
bo Matariswan zaledwie kilkumiesięcznem był dziec-
[kiem

i wszystkie drzewa współczesne dawno runęły po-
[kotem.
Brahmin kolosa wychował, i w leśne puszczając
[knieje,
tak prosił jego na klęczkach: „Wiem, żeś ty święty
[i boski.
Błagam Cię, jeśli napotkasz Czerwony kwiat, co go-
[reje
w niebiesiech, przynieś nam jego do Twojej rodzin-
[nej wioski,
Brahmin już nie żył od wieków, lecz pomnąc Nieb
[przyrzeczenie
objawił swemu następcy, ten znowu innym z kolei
i tak się wieści rozeszły niepewne. jak nocy cie-
[nie,
że kwiat Czerwony do wioski kiedyś zawita od
[kniei.

3.

Raz olbrzym z Wisznu tygrysem szedł moczarami
[ciemnemi,
Agni piorunem uderzył w palmowiec wielki i stary,
drzewo się suche zajęło, płomienie doszły do
[ziemi,
w ogniu syczały żałośnie łamiąc się jego konary.
Gdy Matariswan pochwycił tlące się drzewa po-
[pioły,

wrzucił do klatki żelaznej, za pokarm nalał mu
[smoły,
a słysząc obok rakszasów podstępnych groźby
[ponure.
z kamiennych gruzów nad klatką do niebios usypał
[górę.
Widząc jej szczyt niebosiężny, roje rakszasów
[struchlały.
Miałyż tę górę do rana w drobne rozerwać ka-
[wały?
Jednak się wzięły do pracy z odwagą duchom
[właściwą,
by wyrwać Agni z niewoli i go postawić przed
[Siwą.

4.

Rano słyszano ryczące wściekłe Gangesu to-
[piele,
walące o stromą górę, o boga Agni więzie-
[nie;
w stronę tej góry patrzały trwożnie płochliwe
[gazele.
Słonie tam bały się podejść, tak grzmiało młotów
[walenie
w rękach zuchwałych rakszasów żądnych potęgi
[i chwały.
Gdy Matariswan leniwo kroczył, by zburzyć już
[skały

i ogień ponieść dla ludzi do chat indyjskich w ofie-
[rze,
zobaczył nagle wędrowca, co szepcąc święte pa-
[cierze,
dążył ku górze, na której mgły się wznosiły co
[rano.
Rakszasów banda natychmiast wkrąg otoczyła
[przychodnia,
a kiedy lica przybladłe światłem oblała pochodnia,
zewsząd krzyk słychać podziwu: „Skąd tyś tu przy-
[był Rawano?
Myśmy po tobie żałobę od lat tysięcy nosili
i gorącemiśmy łzami od dawna futra rosili.
Rawana głów miał tysiące, a wszystkie zawdzięczał
[Bramie,
bo nieśmiertelność uzyskał za długoletnią pokutę.
Ramion dwadzieścia posiadał jako odwagi swej
[znamię,
co go wprawiało w niezmierną zarozumiałość
[i butę.
Wszystkiemi swemi głowami pokiwał przez pewną
[chwilę
i dwudziestoma rękami zaczął dół kopać od szczy-
[tu.
A Matariswan ukryty, za drzew obeschłych badyle
czekał, ciekawy, czy demon rozwali zwały z gra-
[nitu.

Niedługo czekał, bo nagle runął szczyt góry — gła-
[zami,
wytrysnął Agni z wnętrzyska, dymu osnuty obło-
[kiem,
Popiół posypał się, lawa spłynęła z boków rze-
[kami.
Świat drżał, nurt ryczał Gangesu, niebo okryło się
[mrokiem.

5.

Woda i wicher śmiertelne wrogi są Agni, więc
[rano
przyszły do groty, by w walce dać użyteczne usłu-
[gi,
gdy nagle cicho się wślizgnął do wrót jaskini gość
drugi.
Olbrzym zawołał zdziwiony: „Ty tu przychodzisz,
[Rawano?“
„Do Ciebie“, demon mu odrzekł, „przychodzę dziś
[przyjacielem.
„Agni, co winien rakszasom całkiem zapomniał
[już w niebie;
„nagrody nie dał, więc zemsta wspólnym nam obu
[jest celem,
„gotowy jestem iść z Tobą i zdobyć ogień dla Cie-
bie!“

6

Olbrzym znał moc przeciwnika, chętnie przyjaźnią
[go darzy.
Rawana wzrok swój krogulczy w szlachetnej utkwił
| mu twarzy
i rękę wyciągnął — Półbóg uścisnął tę dłoń pie-
[kielną
i odtąd poszli już razem w walkę okropną. śmier-
telną.

7.

Wydarły ogień niebiosom rakszasów wojska zu-
[chwałe,
Lotusooki Matriswan poniósł go zaraz do sioła.
Spełniając prośby Brahmina, zdobył zwycięstwo
i chwałę
i boską zdobył potęgę i blask mściciela anioła.

8.

Tegoż wieczora przy ogniu ludu rozsiadły czere
[dy —
płomienie jasno buchały, pełzły żmijami krasnemi,
a stary Brahmin, zawodząc hymny posępne z Rig-
[wedy,
sławił potęgę półboga, co zbawił ludzkość na ziemi

AMPHIBEIS.

Wieki mijały, jak bocianów stada
na żab zawzięły się niechybną zgubę.
Każdy z nich tępi je i każdy zjada,
muszą opuścić bagna, przodków chlubę,
w których mieszkały już od prapradziada.
Nie jedna z ropuch poszukuje braci,
nie jeden z żółwi nie znajduje matki,
nie jeden wodny wężyk głowę traci.
W zaroślach trwożne padalcy gromadki
łamią z rozpaczą swych łapek ostatki
nad śmiercią gadów. Z łąk robią się jatki.
Bociany harde, co spotkają, niszczą
Próżno się węże kryją w wężowiska
i próżno żółwie rozpaczliwie piszczą.
Nic nie pomoże jad, co z zęba tryska:
śmierć i zagłada gadów wszystkich blizka.
Wtedy żółw stary w pancerzu potężnym
staje, lud widząc ginący jaszczurzy,
i pieśń tę nuci, co sercom mniej mężnym
dodaje siły rozhukanej burzy:
„Z Saurów*) dawnych potężnego ludu
„zostały tylko jaszczurki i węże,
„jednak z natchnionym śpiewem czekam cudu
„wierząc, że pieśń ma ich grobów dosięże.

„W Tryasu warstwach pomiędzy głazami
„białe ich kości świecą się fosforem,
„lecz ja odgrzebię gruz śpiewu dźwiękami
„i trupy martwe wywołam upiorem.
„W bryłach odległych wy potężne śpicie,
„olbrzymy! pełne mocy i przepychu,
„lecz ja zaczerpnę z waszych prochów życie,
„jak motyl nektar czerpie z ziół kielicha“.
„Protosaury! w tę straszną godzinę
„wzywam was moje przodki niebosiężne!
„Naród mój i ja nieszczęśliwy ginę,
„wspomóżcie nasze serca niezbyt mężne“.
Protosaury w takt żółwiowej pieśni,
harde, jakgdyby znów światem rządziły,
szkielety swoje otrząsają z pleśni
słysząc, że syny ich blizkie mogiły.
Mknie z pośród gadów do boju, co żyje,
w zwycięstwo wierząc. Lecz Saury dumne,
widząc ropuchy, żółwie albo żmije
swojem potomstwem — z bólu legły w trumnę.

1909. Marzec.

---

*) Objaśnienie: W epoce Tryasowej okres mezozoiczny był na ziemi wiekiem olbrzymich jaszczurów (Saurów). Obecnie szczątki tych zwierząt znajdują się u nas w okolicach Kielc, Olkusza, Krakowa oraz w Tatrach.

WIOSNA.

Było błoto tataraków
pełne, ziół i traw . . .
Pełne linów, kiełbi, raków,
kózek, ślizów i szczupaków,
jako żaden staw na świecie,
jako żaden staw . . .
Błędny strumień przez szuwary
ciemny toczy nurt,
nad nim brzęczą gzy, komary,
wierzb zwieszają się konary
z zwisających burt bagniska
z zwisających burt . . .
A w tym błocie, w tej kałuży
tak chór żabi gra,
że się czarna woda burzy,
że się wkoło niebo chmurzy;
Czasem nuta łka żałosna,
czasem nuta łka . . .
Kiedy cicha przyszła wiosna
i zbudziła świat,
zadźwięczała pieśń radosna,
wielka, żabia pieśń miłosna,
jak z odległych lat, minionych,
jak z odległych lat.

ZIMA.

Przyszła z wiatrem, z mrozem zima.
Zamarzł cichy staw.
Już huragan fal nie wzdyma,
już piorunów w dłoń nie ima,
nie rwie zwiędłych traw,
jak niegdyś,
nie rwie zwiędłych traw . . .
Już ropucha pod kamienie
na zimowy sen
idzie cudne śnić marzenie;
przyśni jej się bór, strumienie,
staw wesoły ten
na wiosnę,
staw wesoły ten . . .
„O, żegnajcie mi, owady
i gąsiennic rój",
z łzą na oku szepcą gady.
A tu sypią zimne grady,
a tu krzepnie zdrój
wśród boru,
a tu krzepnie zdrój . . .

1909. Marzec

LIS i WINOGRONA.

Wyszedł lis zgłodniały z nory,
westchnął z głębi płuc;

a był on nadzwyczaj skory
wszystkie kury i kaczory
z okolicy tłuc bez serca
wybijać i tłuc.
Pędzi hen do gąszczy sadu,
przez płot daje sus.
A w sadzie krzew winogradu,
jagód sypie się jak gradu,
lis nasz zdwaja kłus i pędzi,
lis nasz zdwaja kłus.
Woń czarowna z wina wieje,
zefir lekki dmie;
ale lis winogron nie je,
w duchu się z Ezopa śmieje,
do kurników mknie co siły,
do kurników mknie.

DO JASKÓŁKI.

Z za mórz, z za wód
do naszych wiosek leć,
upajaj lud,
melodyi słodycz nieć,
gdy słońca brzask
rozświeci ziemi szmat,
gdy jego blask
rozbudzi senny świat.
Z za mórz, z za wód
do naszych wiosek leć,

upajaj lud,
melodyi słodycz nieć.
Gdy przyjdzie jesień k-nam,
na niebios siądzie tron,
uciekaj ile sił,
do obcych umknij stron.
Ach pędź, ach leć!
ach szybko umknij tam,
by siłę mieć
znów wiosną wrócić nam.

1907.

LĘK.

Cicho i głucho szemrze las,
ponuro się odzywa sowa.
Ostatni słońca promyk zgasł
i noc nastała księżycowa.

Pośrodku sinych gór i skał
ponury wielki zamek stał.
A z tego zamku starej wieży
słyszano jakiś krzyk i jęk . . .
pośrodku sów i nietoperzy
na czarnym tronie siedział Lęk.
Oczy miał wielkie, drżący głos,
na głowie jeżył mu się włos.

Ktokolwiek ujrzał zamek ten
czy w dzień, czy też wśród nocnej pory.
tracił na zawsze spokój, sen,
wieczne ścigały go upiory.

POŁUDNIE.

Przedemną wonny, bursztynowy łubin,
na prawo krajec złocistego rżyska,
motyl się w niebo wznosi, jak cherubin,
gdzieniegdzie kąkol fiołkowy przebłyska.
Mieni się chabrów szafir, maków rubin,
słońce promienie gorejące ciska.

LEGENDA TATRZAŃSKA.

Zaszumiał i zapłakał wiatr
pośrodku cichych limb
i z lica tajemniczych Tatr,
z góralskich chat, z dymiących watr
mgławicy spędził nimb.
Granitu wtedy czarny złom
słoneczny skrwawił blask.
Zajęczał w lasach burzy głos,
kozicom głosił straszny los
myśliwskich przygód brzask.

Rozbrzmiał po kniejach trąby zew,
zapłakał stary bór.
Polała się zwierzęca krew
pośród omszałych, starych drzew
i zamilkł ptaków chór.
W majestatycznym cieniu skał,
gdzie wieczny skrzy się lód,
na kobzie teraz juhas grał,
a kędy dawniej śnieg się słał
podróżny stąpał lud.
Zamącił cudnych kwiatów woń
dymiący ogień watr
i cichą, fantastyczną błoń,
co dawniej muskał tylko wiatr,
kopytem teraz deptał koń.
Niedźwiedź, chcąc zaspokoić głód,
z człowiekiem szukał starć,
bo leśny, woniejący miód
przeniósł się do drążonych kłód,
bogatą tworząc barć.
Natenczas rycerz Giewont wstał,
odpasał krwawy miecz.
Do dolin krzyknął i do skał,
by słały chmur obronny zwał,
i gnał rusałki, ludzi gnał
z tatrzańskich dolin — precz.

MISTRZ TWARDOWSKI.

Na gorejącej ogniem Łysej górze
las wonnych jodeł wznosi się w błękity,
a wyżej, we mgieł osłonięte chmurze,
piętrzą swe kształty sczerniałe granity.
Skoro w zachodu promiennej purpurze
zapalą się skał upłazy i szczyty,
jak głoszą dawne, lechickie legendy,
duchy na ziemię schodzą się tamtędy.
Zamek warowny u podnóża góry
w zieleni tonie na skalnych kamieniach.
W nim mieszka rycerz Twardowski, ponury
mag i alchemik, który w nocy cieniach
patrzy na księżyc, na gwiazdy i chmury,
zaklina duchy, jęczące w strumieniach,
i przy odbłyskach rozżarzonych głowni
wwodzi upiory do swojej pracowni.
Krążyły wieści pomiędzy narodem,
że swoją postać mag często przemienia:
czy to wędrownym robi się Rapsodem,
czy jako orzeł szybuje w sklepienia,
czy też przez skały, błyskające lodem,
śmiga w postaci gemzy lub jelenia,
zrywając skalnych kamieni okruchy,
czy jako widmo jęczy między duchy . . .
Mówiono o nim, że z kwiatami gadał
pośród łąk leśnych uroczej zieleni,
że gwiazdom blaski złociste wykradał

i myśl posyłał po drodze z promieni,
lub że koguta strasznego dosiadał,
który miał ogon z zielonych płomieni,
grzywę— ze srebrnych pierzy, dziób — z bursztynu,
a oczy — z ogni krasnych i rubinu.

. . . .

. . . .

Ale porzućmy teraz baśnie gminu.
Zajrzyjmy w ten duch, oczerniony złością,
a zobaczymy, że to jest duch czynu,
duch Poświęcenia, ojczyzny miłością
gorący . . . w ogniach zrozpaczenia cały
a nieugięty, jak granitu skały.
Muszę wam dawne opowiedzieć rzeczy
I postać Mistrza z dziejowych zamętów
wywieść . . . Słyszycie szczęk srebrzystych mieczy?
Słyszycie straszny płacz i jęk lamentów?
A to żelazo, co Polskę kaleczy,
lśniące od blasków drogich dyamentów,
tysiącem ogni ku nam się przybliża,
niosąc na sobie znak boskiego krzyża.
Polsce natenczas Zakon groził krwawy,
trzęsły się przed nim króle, wojewody.
I szlachta, ojców zapomniawszy sławy,
drżała. I tylko guślarze Rapsody,
dawnych witezi sławiący wyprawy,
na piersiach srebrno-siwe mając brody,
stali na trupów nieruchomym murze,
jak widma, we krwi spłukane purpurze.

Kiedy tak zakon polską ziemię krwawił
i szedł w tryumfie posoką rumiany,
duch Twardowskiemu jasny się objawił
i rzekł: „Przez Ciebie Bóg zgnębi tyrany,
tyś się narodził, byś pomścił i zbawił
Kraj ten — od wrogów podłych mordowany.
Wziąwszy na siebie strój rycerski, złoty,
idź na szczyt Łysej góry, w głębie groty.
Tam ci głos Pana wskaże tajemnice,
abyś mógł krwawe zadać wrogom cięcia,
Tam ci objawią wróżki - czarownice
piekielne znaki, szatańskie zaklęcia.
Ty zaś wysłuchaj, pochyliwszy lice,
Króla Niebiosów i Ciemności księcia,
bo tam, gdzie o kraj nieszczęśliwy chodzi,
Bóg z szatanami na jedno się godzi".
Duch znikł. Twardowski poszedł, kędy z boru
co noc upiorów tysiąc wylatywa,
gdzie rój straszydeł trupiego koloru
z oczami, które lęk śmierci przeszywa,
jawią się we krwi, nad otworu głębią
jaskini, a wiatr włosy im rozrywa . . .
Wówczas to, mistrza kroki usłyszawszy,
zstąpił ku niemu z góry duch najkrwawszy.
Porwał w ramiona i poniósł na górę
przez jakieś dziwne, legendarne kraje,
przez wioski, w ognia osnute purpurę,
przez horodyszcza i zaklęte gaje,
przez bagna stęchłe, ciemne i ponure . . .

Wtedy powstali z mgieł i górskich stoków
trzej wieszcze, którzy ugiąwszy kolana
przed Mistrzem, co się wznosił wśród obłoków,
uznali jego za swojego pana . . .
Potem od wirchów, od chmur i proroków,
odleciał w ogniach duch, kędy polana
zielona, dzikim zamieszkana płazem,
broniona ścianą skał, jak pierś — żelazem.
I rozległ się Głos na nieba błękicie:
„Rycerzu, rozpal stos i stań na stosie,
a z dymów twoich duchy wezmą życie,
a ty odwagę czerp w mym wieszczym głosie.
Na zamek teraz idź, na wzgórza szczycie
staną widziadła, o narodów losie
ważące, święte, jak ciche modlitwy.
Idź! — i zapalaj stos! — i czaruj bitwy".
Twardowski poczuł się jak bóstwo silnym.
Wrócił do zamku i na złotym piasku
rozkazał stos ułożyć. Na mogilnym
kurhanie stanął w błyskawicy blasku,
ogniem objęty ode stóp do głowy,
jak ów żyjący świecznik Neronowy.
A wtedy w dymach czarnych i popiołach
z czarnoksiężnika dwa powstały duchy.
Słońca gorzały w nich, jak w Archaniołach,
ręce im obu skuwały łańcuchy.
Potężne, z ogniem na wyniosłych czołach,
nad Łysej góry zwietrzałe okruchy
wzbiły się Lelum z Polelum w kajdanach,

aby na wrogach mścić się i tyranach.
Lelum światłością słoneczną rumiany
w stalowej zbroi jaśniał i płomieniał,
a hełm miał w pęki orlich piór przybrany.
który się w blasku błyskawic odmieniał:
wpierw był żelazny, potem ołowiany,
wreszcie pociemniał, poszarzał i scieniał,
kruszy się jeszcze, brunatnieje, czerni,
aż się zamienił na koronę z cierni,
Miecz w ręku ducha ze szczerbem wgłębiony
dawniej się wrogów krwią nikczemną zmywał
i, tą szkarłatną krwią zaczerwieniony,
na kościach trupich ostrze swe wyrywał.
Następnie, w zdobnej pochwie zawieszony
i zapomniany, wiecznie odpoczywał.
Rycerz nie powstał, jak zemsty cherubin:
na mieczu zamiast krwi kraśniał mu rubin.
Polelum w dłoni dzierżył łuk i telum,
twarz miał okrytą żelazną przyłbicą.
„Gdy Lelum zginie, żyć będziesz po Lelum“
rzekła mu wróżka, która czarownicą
będąc, wyrocznie Jupitera z Coelum
umiała zgadnąć. Przez tę bladolicą
wiedźmę zaklęty duch szeptał modlitwy,
którym wtórzyły uroczyska Litwy.
A gdy go Lelum żegnał krucyfiksem,
Polelum schylił czoło aż do ziemi,
i żal, który go opadł hen nad Styxem,
znów załopotał skrzydły mistycznemi,

jak ptak egipski, co się zwie fenixem,
a który żyje wiekami całemi
i z własnych prochów napowrót się lęże.
Kajdany z rąk mu opadły, jak węże . . .
Na żmije łańcuch żelazny się zmienił
i rozpełzł, jak gad podły, jadowity,
i, jak nikczemny gad, wszędzie rozplenił,
aż wywędrował na wschód złotolity.
Wąż stał się smokiem, kraj krwią zarumienił,
skrzydliskiem uniósł się w niebios błękity,
a opuściwszy nadpowietrzne szlaki
zrodził ze siebie pająki — Krzyżaki . . .
Te ponad ziemią plotą sieci zdradne,
a z pochwyconych w nie ofiar krew sączą.
Widząc to Lelum i Polelum władne
potęgi swoje w jedną siłę łączą.
Jak upleciony kłębek przez Aryadnę
nici krzyżaków coraz to się plączą;
Z tych korzystając błędów, połączone
duchy nad Pole wznoszą się Zielone.

Okryty dymów ponurych żałobą
wsparł się na sennych pagórków łańcuchy
Grünwald, co głuche lasy ma przed sobą,
a wśród tych borów głuchych—naród głuchy
smutny, jak gdyby był kamienną Niobą,
co pozostała sama. . bez otuchy...
po stracie dzieci, od gniewu Latony...

. . . .

Tam błysnął sztandar Litwy i Korony
. . . .

Minęła walka pełna krwi, zawzięcia;
Dym opadł i wstał z gasnącego stosu
Mistrz, i piekielne rzucił mgłom zaklęcia.
Chmury schyliły się, a wśród chaosu
ostatnie było słychać szabli cięcta,
a potem szala przeważyła losu
na stronę Polski
. . . .

A gdy Mistrz skonał na rękach demona,
zjawił się anioł, jak Marzanna biała,
i rzekł: Ta dusza dla raju stworzona,
bo wiele bardzo na ziemi cierpiała.
Djabłu ognista cheruba korona
oczy zamgliła, więc niemy, jak skała,
stał, póki Anioł z Twardowskiego duchem
nie zginął, za gwiazd świetlanym łańcuchem

Warszawa. Październik. 1909.

JESIEŃ.

Już pora ptakom uciec za morza,
już pora iść.
Już na spalone upadł rozdroża
zeschnięty liść.
Smutno jesienią, gdy wiatry jęczą
przez nieba kres,

gdy stropy czarne kryją się tęczą
niespadłych łez.
Niebo się jasno już nie zapali,
jak w letni czas...
Nie zajaśnieje wśród zórz korali
szumiący las.
Z pozłacanego spływa sklepienia
ranek bez zórz,
a w górze słychać gorzkie westchnienia
płaczących dusz.
Z łąk płyną ciche szepty konania
spieczonych traw;
boleści pełne jęki i łkania
wydaje staw.
O! jak okrutnie zaciekłe wiry
targają nurt,
a bluszcz się zwiesza w wodne szafiry
z obwisłych burt.
Smutno jesienią! zda się, że bogi
rzuciły świat.
A serce więdnie, ginie od trwogi,
i jak polny kwiat.

8 Grudzień 1907 r.

SPIS RZECZY.